

Wymowa kwiatów



Napisała: Małgorzata Kondas

Ilustrował: Przemysław Woźniak

Czy jestem zabobonna? Niechętnie się do tego przyznaję. Właściwie lubię wróżby – zwłaszcza dobre. Natomiast czarny kot na drodze, przechodzenie pod drabiną i temu podobne nie budzą moich obaw. Mam swoje własne zabobony, a jak się dobrze zastanowić, to właściwie tylko jeden. Jedną znam tylko niezawodną wróżbę – kwiaty. Zasada jest bardzo prosta: im dłużej trzymają się wazonie, tym dłużej trwa przyjaźń z ofiarodawcą.

Pierwszy raz odkryłam tę zasadę dawno temu. Miałam nie więcej jak osiemnaście lat, kiedy dostałam bukiet różanych pączków od znanego aktora. Bardzo mi ta znajomość imponowała, a kwiaty jako namacalny dowód jego zainteresowania otaczałam szczególną troską. Niestety nie rozwinęły się. Uschły wszystkie co do jednego miłośno usilnych starań. Ofiarodawca okazał się człowiekiem bardzo dalekim od moich o nim wyobrażeń i znajomość skończyła się też bardzo prędko.

Z Krystyną znałyśmy się wtedy od niespełna miesiąca. Zaprosiłam ją na herbatę, a ona przyniosła mi gałązkę białego bzu. Wiadomo jak nietrwały jest to kwiat, zwłaszcza sztucznie wyhodowany zimą. Byłam przygotowana, że nie

przetrwa doby, a on przez wiele dni zaskakiwał mnie rano swoją nieprzemijającą świeżością. Krystyna jest moją przyjaciółką od lat i tak się dziwnie składa, że kwiaty od niej zawsze stoją w wazonie najdłużej.

Podobnie ma się sprawa z kwiatami doniczkowymi. Jedne dotrzymują mi towarzystwa przez lata, inne usychają po paru tygodniach.

Wojtek był moim znajomym od dłuższego czasu. Nasza przyjaźń przeszła zwycięsko początkowe próby i zdawało się, że nic jej nie zagraża – nawet nuda. Rozumieliśmy się coraz lepiej, a było to o tyle ważne, że Wojtek był moim nauczycielem angielskiego. Poza tym nie łączyły nas sprawy sercowe, które – wiadomo – wystawiają przyjaźń między kobietą a mężczyzną na szczególne niebezpieczeństwa.

Przy jakiejś okazji Wojtek podarował mi prześliczną czerwono kwitnącą azalię. Postawiłam doniczkę na biurku, tuż przy oknie. Nigdy nie zapomniałam podlewać, a nawet nie szczędziłam komplementów pięknej roślince, która zdawała się mieć komfort nie tylko fizyczny, ale i psychiczny, gdyby takiego potrzebowała. Niestety, zaczęła marnieć w oczach i nic nie było w stanie jej uratować. Zanim uschła całkowicie

Wojtek oświadczył, że musi przerwać nasze lekcje, bo wyjeżdża do Szkocji i nie wie jak długo tam pozostanie.

Wszystko, co powiedziałam wyżej, jest oczywiście tylko częścią moich doświadczeń z kwiatami, ale ich wymowa nigdy mnie nie zawiodła. Tym dziwniejsza wydaje mi się ostatnia przygoda, której nie umiem jednoznacznie zinterpretować.

Znajomość z Fredem od początku była na nieco zwariowanych zasadach. Poznałam go w Londynie, dokąd pojechałam sprawdzić czy wreszcie nauczyłam się tego angielskiego. Los nas zetknął na dzień przed moim powrotem do kraju. Wymieniliśmy adresy i znajomość miała prawo zwiędnąć w sposób naturalny, gdy nagle, niespodziewanie zjawił się w Warszawie. Teraz, kiedy o tym myślę jestem zdziwiona własną naiwnością. Jak mogłam dać się wciągnąć w tak niepoważną zabawę. Miłość od pierwszego wejrzenia jest dobra w literaturze. W życiu musiało skończyć się źle, no, powiedzmy – niemiło.

Na razie jednak nic jeszcze nie zapowiadało finału. Nie mam pojęcia skąd Fred wytrzasnął ten kwiat. Nigdy przedtem takiego nie widziałam. Liście podobne do kamelii, sam kwiat do storczyka, ale jakby zrobiony ze sztywnego jedwabiu o połyskliwych barwach od pomarańczowej, poprzez purpurę do fioletu. Na dodatek ten zapach najbardziej przypominający gorzkie migdały, chwilami mocne perfumy o nieznanej mi woni. Z tego opisu mogłoby wynikać, że roślina przypomina sztuczny twór. Nic bardziej mylącego! Od czubka kwiatka, po małą drewnianą doniczkę wszystko jest naturalne, żywe, zmusza do bardzo osobistego stosunku, do zachwyty.

Czas wizyty narzeczonego dobiegł końca. Na pożegnanie obiecałam przyjechać tak prędko, jak tylko dostanę paszport.

Roślina dyskretnie gubiła stare kwiatki, ale na ich miejsce rozwijały się

nowe. W ten sposób nic nie traciła ze swej oszałamiającej urody. Kiedy nadzedł czas wyjazdu powierzyłam ją pieczy przyjaciół.

Fred w swoich angielskich domowych pieleszach okazał się zupełnie innym człowiekiem. Cały romantyzm znikł bez śladu, a tamtejsza rzeczywistość nie była moją rzeczywistością. Z utęsknieniem oczekiwałam dnia powrotu. Obawiam się, że nie udało mi się zamaskować rozczarowania połączonego z nudą. Nasze rozstanie było chłodne.

Nie zdziwiłam się wcale, że roślina ma tylko jeden kwiat. Przyjaciele tłumaczyli się. Dbali o nią należycie.... Oczywiście. Byłam pewna, że nie ponoszą najmniejszej winy za jej stan. Jedynym winowajcą – jeżeli można tu szukać winowajcy – mógł być ofiarodawca, czyli Fred. To za jego przyczyną kwiat zaczął usychać. Mimo przekonania o bezskuteczności wysiłków próbowałam roślinę ratować. Nawet kiedy już całkiem uschła postawiłam ją na parapecie wśród innych doniczek i nadal podlewałam.

Mineło kilka miesięcy. Poznałam Marcina i zaczęłam się z nim spotykać. Oboje jesteśmy ludźmi zapracowanymi, dlatego nie mogliśmy się częściej umawiać, jak raz w tygodniu. Z czasem mieliśmy coraz więcej wspólnych spraw. W końcu do rzadkości zaczęły należeć dni, w których nie widywaliśmy się. I wtedy nagle moja martwa roślina niespodziewanie zaczęła wracać do życia.

Nie miałam nic przeciw temu, żeby znowu pięknie zakwitła, ale jeżeli za tym miałyby powrócić zainteresowanie Freda... Nie, stanowczo nie miałam ochoty na odnawianie tej niefortunnej znajomości. Moje obawy mogły być grubo przedwczesne. W końcu ta maleńka zielona kulka na czubku uschniętego badyła niczym mi nie zagraża.

Marcin nie interesował się moją kolekcją roślin. Nie zauważył nawet, że trzy-



mam jakiś uschnięty patyk w drewnianej doniczce. Nie miałam przed nim specjalnie tajemnic, ale moje stosunki z rośliną postanowiłam zachować między nami i nie mieszać do tego nikogo.

Pierwszy listek rósł wprost niewiarygodnie szybko. Wieczorem był o połowę większy niż rano. W ciągu miesiąca uschnięty badyl zmienił się w sliczną zieloną roślinę. Cieszył mnie jej widok, ale robiłam się coraz bardziej nerwowa. Wieczorem, kiedy był Marcin i nagle dzwonił telefon odbierałam go z obawą, że będę zmuszona mówić coś po angielsku, a potem tłumaczyć się. Przesadzam oczywiście, bo Marcin nie żądałby wyjaśnień, ale ja sama nie chciałam stwarzać dwuznacznej sytuacji. Nic mu o Fredzie nie mówiłam i nagle jakiegoś wyznania...

Przemilczeć? Zostałoby niepotrzebne niedomówienie.

Fred na szczęście nie telefonował, nie napisał listu nawet, kiedy zakwitł pierwszy kwiat. Byłam lekko zdezorientowana. Jak należało tłumaczyć tę anomalie? Nie chciałam dopuścić podejrzenia, że kwiat pomylił się lub wprowadza mnie w błąd. Fred musi o mnie myśleć! Nie mam tylko pojęcia co znaczy to milczenie. Nie, nie, nie ma obawy żebym próbowała sama cokolwiek wyjaśnić.

Kiedy rozwinęła się większość pączków, a całość przybrała wygląd pięknego bukietu, postawiłam doniczkę przed sobą na biurku żeby móc cieszyć się urodą kwiatów i wdychać cudowny zapach, który jakby się leciutko zmienił. A może po prostu zapomniałam jak pachniał poprzednio?

Codziennie spotkania z Marcinem odbiły się niekorzystnie na mojej pracy. Porobiły się zaległości, które koniecznie należało nadgonić. Zaczęłam zarywać noce, a potem bolała mnie głowa.

Tamtego dnia, kiedy po raz pierwszy zauważyłam niezwykle właściwości mojej rośliny, byłam właśnie całkiem

rozbita od samego rana. Zrobiłam sobie filiżankę mocnej kawy i w szlafroku usiadłam przy biurku. Nie tylko nie chciało mi się pisać, ale nawet przebrać w sweter i spodnie. Zadzwoił telefon.

– Wstałaś? – głos Marcina był miły, może nawet zbyt miły – pomyślałam pewnie niesprawiedliwie.

– Tak – powiedziałam tłumiąc ziewanie.

– Wiesz, dzisiaj nie będę mógł wpaść...

Chciałam zawołać, że to świetnie, ale ugryzłam się w język i wysłuchałam spokojnie tłumaczenia dlaczego nie będzie mógł wpaść.

Kiedy odłożyłam słuchawkę pomyślałam z zadowoleniem, że mam przed sobą cały długi dzień, w którym nie muszę się nawet przebierać.

– Będziemy dziś same – powiedziałam do kwiatka i nachyliłam się, żeby go powąchać. Wciągnęłam głęboko pachnące powietrze i poczułam się znacznie lepiej. Wypiłam ostygłą kawę, ale tylko z przyzwyczajenia, bo ból głowy ustąpił wcześniej.

Od tamtego czasu używam znacznie mniej kawy. Podejrzewam, że nigdy nie była mi naprawdę potrzebna. Popijanie czegoś lub palenie tytoniu to coś w rodzaju rytuału, który pozwala się skupić. Sam narkotyk zawarty w używkach jest mało ważny. Dlatego równie dobrym odruchem może być wachanie kwiatów. Radzę spróbować.

Dzień upłynął mi pracowicie i wydajnie. Wieczorem, kiedy kładłam się spać byłam zadowolona z siebie. To miłe uczucie zaczęło mi się przytrafiać coraz częściej.

Następnego dnia Marcin przyszedł wcześniej niż zwykle i chciał wyciągnąć mnie do kina. Zdołałam się jakoś wykreścić. Tak bardzo nie miałam ochoty wychodzić z domu. Na samą myśl o tym zaczęła boleć mnie głowa.

– Może w takim razie jutro. Ten film warto obejrzeć – nalegał.

– Pojutrze. Chciałabym skończyć pewną rzecz...

– Rozumiem. Wolisz żeby ci jutro nie przeszkadzał.

– Nie, dlaczego? – powiedziałam bez przekonania.

W trzy dni później poszliśmy do kina. Nie pamiętam nic z filmu, bo w połowie złapała mnie migrena, która ustąpiła dopiero po powrocie do domu.

– Co ty robisz? – zdziwił się Marcin, widząc jak wciągam głęboko powietrze w płuca, nachylona nad doniczką.

– Wącham kwiat – powiedziałam – Co w tym dziwnego?

A jednak coś musiało być nienaturalnego w mojej łapczywości. Inaczej Marcin nie podszedłby żeby powąchać roślinę, której dotąd wcale nie zauważał.

– Ty coś czujesz? – spytał.

– Jak to? Przecież one cudownie pachną!

Marcin ma zgodny charakter i nie widzi powodu upierać się przy swoim zdaniu, jeżeli nic istotnego z tego nie wynika. Popatrzył jednak na mnie przeciągle, jakby chciał wy badać, czy mówię poważnie.

– Masz takie błyszczące oczy – powiedział, a jego słowa, nie wiem czemu, wcale nie zabrzmiały jak komplement.

Przez następnych kilka dni telefonowałam próbując się ze mną umówić, ale ja naprawdę nie miałam czasu. Nigdy jeszcze nie pracowało mi się tak łatwo i wydajnie. On na pewno zrozumie i nie obrazi się. Kiedy tylko skończę zaczniemy znowu spotykać się jak dawniej.

Od trzech dni nie wychodziłam z domu i okazało się, że lodówka jest całkiem pusta. Zeszłam na dół do sklepu. Kupiłam co było: puszkę zielonego groszku, kompot z truskawek i chleb. Należało zajrzeć do innego sklepu, ale rozboleła mnie głowa. Wróciłam więc z tym co miałam.

Kwiat wyglądał jakby ucieszył się na mój widok, płatki rozchyliły się, a cudowny, odurzający zapach wypełnił ca-

ły pokój. Poczułam się szczęśliwa, bezpieczna. Wyłączyłam telefon żeby mi nikt nie zakłócił spokoju.

Włączyłam go ponownie w trzy dni później, ale nadal nikt nie przeszkadzał. Chwilami myślałam, że sama powinnam zadzwonić do Marcina, dni jednak mijały tak szybko... Potem zaczęłam martwić się rośliną – miała coraz mniej kwiatów.

Praca szła trochę gorzej. Pewnie byłam przemęczona, należało się odprężyć. Nakręciłam numer telefonu Marcina. Odezwała się jego matka.

– Wyjechał – powiedziała.

– Jak to? Dokąd?

– Za granicę.

– I nie pożegnał się?!

– Dzwonił kilkakrotnie. W końcu jakiś mężczyzna powiedział, że pani nie życzy sobie spotykać się więcej z moim synem.

– Ależ to pomyłka! Ktoś zrobił głupi kawał. Przecież cały czas nie było u mnie nikogo. Tylko ja odbierałam telefony.

– Przekażę pani słowa synowi, jak wróci – zgodziła się starsza pani.

Następnego dnia opadły cztery kwiaty i rozwinął się ostatni pączek. Wzięłam pierwszy od wielu tygodni proszek od bólu głowy, ale nie pomógł. Napisałam kilka zaledwie linijek i nie byłam z nich zadowolona.

Minęło wiele bardzo długich dni, w ciągu których nie robiłam absolutnie nic. Ataki migreny nie dawały się leczyć żadnymi metodami, prócz wdychania woni kwiatów. Doniczkę postawiłam na szczęście tuż koło łóżka. Telefon stoi za daleko. Nie mam już siły po niego sięgnąć. Nie wiem również czy magnetofon nagrywa jeszcze moje słowa. Chwilami, w przyływie litości, ostatni wędnący kwiatek pachnie silniej i wtedy miewam okrucy nadziei...

Opowiadanie nagrodzono w konkursie organizowanym przez SFAN